



Oczekiwanie...

Jakiś czas temu, miałem przyjemność uczestniczyć w bardzo spektakularnym projekcie mojego przyjaciela- Janusza Adamskiego.
<https://www.facebook.com/janusz.adams.adamski>

Okazało się to dla mnie wyzwaniem, które zapamiętam na długo... I nie chodzi o wysiłek fizyczny czy ryzyko. Problem leżał w mojej naturze, jestem niecierpliw -- nie potrafię czekać. A w dużej mierze na tym polegała moja rola.

Dla wielu jest to marzenie..., ale w sumie niewielu je realizuje. Zobaczyć najwyższe góry świata, stanąć na szczycie lub chociaż w pobliżu „Matki” wszystkich gór- Czomolungmy. Mówią, że trekking na Mount Everest lub „spacer” wokół Annapurny, to formuła pierwsza trekkingowej włóczędzy. Co prawda komercyjna turystyka, jaka się tu w sposób lawinowy rozwija, zaburza smak przygody, ale i tak wizyta w najwyższych górach jest celem coraz większej rzeszy ludzi z całego świata i już od dawna była także na mojej liście.

Najchętniej od razu na pełen gwizdek, po bandzie... -czyli zdobyć któryś z ośmiotysięczników. Wiem- prawdopodobnie wyłazi ze mnie obrzydliwa pycha, ale sądzę, iż mogłoby się to udać. Mogłoby, ale nie koniecznie udało. Najwyższe góry kierują się swoimi prawami i przygotowanie oraz doświadczenie nie gwarantują sukcesu. Trzeba mieć także przysłowiowe szczęście, przede wszystkim do pogody, która tam zdecydowanie rozdaje karty. No i oczywiście naprawdę pokaźne pieniądze, bez których nie dotrzemy nawet do Base Campu. Niestety tak jest rzeczywistość.

W górach wysokich najbardziej przeszkadza mi brak kolorów. Ja wiem- zaraz odezwie się krzyk - że nie wiem co mówię. Że koloryt i plejada barw o świcie przytłacza, zapiera dech w piersiach. Być może, ale jednak najbardziej dominująca barwą jest tam szarość i biel. Bywają momenty, że się to zmienia, ale pogadajcie z człowiekiem, który dwa miesiące aklimatyzował się w obozach i atakował szczyty. Spytajcie się czy nie brakowało mu różnorodności, zieleni drzew, barwy kwiatów lub ciepła słońca. Na „dachach świata” słońce nie ma cieplej barwy. Jest piękne, ale zimne, jak okoliczne lodowce i sprawia wrażenie nieprzyjaznego...

Wspinanie na 8 –ki nie utożsamiam z podróżowaniem. Raczej ze sportem, ekstremalnym, bardzo indywidualnym i egoistycznym. Nie ma w nim miejsca na błędy, wzajemną pomoc i sukces grupowy. Jest cel i wykorzystanie wszystkich środków, aby ten cel osiągnąć- taka uroda... Balansowanie na granic życia i śmierci, samotnie walcząc ze swoimi

słabościami i naturą, prawdopodobnie szybko zmienia nasz charakter. Jeśli jesteśmy zakochani w górach, mamy żyłkę sportowca, prędko dajemy się omamić, uzależnić. Przestaje być ważny „duchowy pojedynek” z górą, lecz skupiamy się na mniej romantycznych aspektach tego sportu - wyżej, szybciej, pierwszy... I śmiem twierdzić, że zaczynamy robić to przede wszystkim dla sławy, pieniędzy lub zapisania się w annałach historii himalaizmu. I tracimy to co najważniejsze - bezinteresowną miłość, magię, która kiedyś tam pchnęła nas w ten świat. Trochę zaburzają nam się priorytety...

Wspinanie się na co łatwiejsze 8 - tysięczniki, a już szczególnie na Mount Everest zrobiło się międzynarodowym biznesem. Rocznie próbuje się tam dostać około 5000 tysięcy ludzi. Koszt takiej eskapady to dziesiątki tysięcy dolarów. Wszystko zależy od tego jakie usługi sobie zapewnimy. Czy wszystko ze sprzętu wnoszą Szerpowie, ile butli tlenowych bierzemy i od jakiej wysokości będziemy je stosować. Jak rzesza pomocników jest oddelegowana, aby pomóc nam dotrzeć na szczyt. Bo obojętnie jak dużo ludzi będzie nas wspierać i ile wydamy kasy na wyprawę, zawsze zostaje niewiadoma jak zareaguje nasz organizm. Nawet jak jesteśmy mocno przygotowani, nie możemy być pewni co do odczuć w strefie śmierci, (powyżej 8 tysięcy metrów n.p.m.), tam nie ma „kozaków” ...

Moja Sikorka twierdzi, że jestem lekko niedojrzały, „mądry inaczej...” Podobno pomysły, które miewam (oczywiście chodzi o włączkę), nie można traktować ze zrozumieniem i tolerancją. Normalny, dorosły mężczyzna, powinien mieć lata dziecięce za sobą, nie kombinować i nie wymyślać co rusz nowych „zabaw z adrenaliną” Ok- coś w tym pewnie musi być, ale w sumie niespecjalnie mnie to martwi. Spotkałem się ze stwierdzeniem, że facet dojrzewa do siódmego roku życia, a później tylko rośnie. Jeśli to prawda, to nie ma sensu tracić energię na wewnętrzną walkę o dorosłość. Z drugiej strony mam przeświadczenie, iż ta przysłowiowa zmienność kobiet, przejawia się także w ich uczuciowości. Kiedy się nimi zainteresują to przeważnie nie ze względu na naszą „powagę”. Myślę – on jest taki interesujący, nieobliczalny, takie ma ciekawe pasje, stanowi dla mnie wyzwanie i tak dalej, i tak dalej... Kiedy zdobędą w końcu nasze Dusze, powoli i konsekwentnie, pracują nad naszą przemianą. Nazywam to próbą „kastracji” ... Sumiennie i metodycznie, doprowadzają sprawę do końca, a kiedy im się to w końcu uda, stwierdzają- Boże, jaki ty jesteś nudny...- no i koniec końców nas rzucają.

Moja rada dla innych panów : kochasz kobietę, zależy Ci na niej- nigdy się nie zmieniaj... ☺

Piszę o tym dlatego, że jako „chłopiec”, często spotykam na swej drodze innych „chłopców”. Muszę przyznać, że towarzystwo ich dużo bardziej mi odpowiada, niż towarzystwo poważnych, statecznych panów. Jednym z nich jest niejaki Janusz Adamski, którego pomysły bywają często wyjątkowo „chłopięce” i niezwykle frapujące. Takie jak zdobycie ze strony północnej i zejście od południa, najwyższej góry świata - czyli pierwszy polski trawers „ Matki Gór”.

Propozycja uczestnictwa w projekcie sprawiła mi przyjemność. Co prawda przejście góry miało się odbyć samotnie, bez pomocy z zewnątrz i żeby poprzeczkę podnieść jeszcze wyżej, bez korzystania z tlenu... Prawdziwe „ chłopięce” wyzwanie, sportowy wyczyn. Nie zdziwiło mnie to specjalnie, gdyż Janusz od zawsze miał zacięcie sportowe. Tutaj

przeciwnikiem była najwyższa góra świata i jego własny organizm. Dotychczas tylko czterem ludziom na świecie udało się sztuka trawersu, ale w większości były to ekipy wyprawowe, wspierające na każdym kroku śmiałka. I tylko jednemu człowiekowi z Czech, niejako udało się próbą dokonania tego bez tlenu. Niestety nie do końca -schodząc zginął... Także reasumując, plan Janucha opierał się na trzech założeniach: Najbardziej ekstremalny zakładał wejście na szczyt od strony chińskiej, bez pomocy z zewnątrz i używania tlenu z butli, aby następnie zejść po stronie nepalskiej. Oczywiście starając się ryzyko śmierci zmniejszyć do minimum, postanowił zabrać ze sobą jedną butlę (dziesiątkę), aby w razie śmiertelnego wyczerpania, poratować się dawką życiodajnego gazu. Była to „mniej” ekstremalna wersja ekspedycji, ale dająca pełną satysfakcję. Trzecie założenie, czyli nie wykonanie trawersu nie braliśmy pod uwagę... Oczywiście żartuję, każdy znający chociaż trochę wysokie góry wie, iż nic tam nie jest pewnikiem, rządy w swoim ręku dzierży natura. Braliśmy poważnie pod uwagę, iż próba może się zakończyć niepowodzeniem. Jednego wariantu, przynajmniej ja nie dopuszczałem do siebie- opcję pozostania Janusza tam na zawsze...

05-05-2017

Szaman

Ciąg dalszy może niebawem...



Janusz Adamski



Himalaista i podróżnik. Zdobywca „Korony Ziemi”, dwa razy Mt.Everestu (2006 drogą południową, 2017 pierwszy polski trawers od strony północnej). Jako jeden nielicznych, dwa razy ukończył „Selekcję Żołnierza Polskiego”, a także szereg długodystansowych biegów górskich oraz biegów ultra na orientację, w tym najtrudniejszy Ultra-Trail du Mont-Blanc, medalista m.in. ERnO Harpagan, Nocna Masakra.